

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Sierota.

W środku morza u zatoki
Wielka góra tam bieleje,
A na górze dąb wysoki
Zielonym się wiankiem śmieje.
Przepłynąłem morską głębie,
Ramionami pień okolej;
Bądź mi ojcem, luby dębie,
Oj, sieroce ja pacholę!
Czyż z konarów twego drzewa
Białe ręce nie wyrosną?
A twój liść-że nie zaśpiewa
Mowę słodką i miłosną?
I odszedłem zażalony,
Zapłynęła łza żrenica:
Nie chce, nie chce dąb zielony
Zamienić się na rodzica.

Ni konary chcą wystrzelić
W dwie ojcowskie białe ręce,
Ani liście chcą weselić
Śpiewem serce pacholące.

Lucyan Siemieński.



O dwunastu rozbójnikach.

Bajka.

Nadobrzańskie okolice miejscami cudnie są piękne. Po wzgórzach nie dostrzeżesz ani latową porą, ani z początkiem jesiennej śladu owej rzeki, która z wiosną na dobry rzut oka zalewa okolice. Pobite kanały ściągają ostatek wody w swe łoża, odkrywając przepyszne widoki. Trawnik nieprzejrany okiem, owiany lekkim wiatrem i wonią macierzanki, przetykany barwistym kwieciami, mile zmysły przynęca i łechce. Na nim obrazy, jakie z rozkoszą odbije w swoim zwierciadle tkliwe i rozmarzone serce kochanków, smętne, zboląła dusza nieszczęśliwego, a nawet obojętna myśl przemysłowca. Tutaj kilku kosiarzy docina reszty potrawu; już im też czas odpocząć. Snać od dni kilku pracują, bo pot kroplisty rosi im czoła, bo kosy stepione ciąć nie chcą; więc raz po raz pestaną, przeciągną krzyże do góry i w takt poostrzą żelaza. Owdzie na posiekówku bydelko, jakby ulane, spoczywa i szerokim językiem zmywa boki, na którychby kropla wody nie została, a żrebce wietrzniki hulają na przegoń ze sobą.

Gdzieś tam zdala na wzgórzu widać las sosnowy; wierzchem kołyszą się cypłowate korony, spodem usłalo się igliwie żółkłe i szyszki. Gromada owiec biegnie pod lasem za trawką, która się tu i owdzie zbłąkała, a barany podzwaniają na przodzie i z bekiem poglądają na bujny pastewnik.

Tysiąc jeszcze obrazów odmalowałoby się po wyżynach obrzańskich; drugi tysiąc wcale rozmaitszych, wcale innych ujrzysz przy spadkach, przy kotłach rzeki. Tutaj woda nie da się ująć w kanały, ale rozlana na lewo i prawo znaczy swoje granice warstwami piasku, łączy, tataraku. Najczęściej jednak wcale jej nie dojrzeć, bo gęste

sitowie i płowe oczerety kryją brzegi i mielizny. Jesiennymi rankami dżdżysta mgła wisi nad niemi; po nad mgłą przeleci czapla, czasem stado żorawi lub gęsi wędrujących długim rzędem do cieplic; inne stado ceranek i kaczek zapadnie na popas, a myśliwy wnet je wypatrzy i odbije kilku towarzyszy.

Taką jest Obra dzisiaj.

Dawniej zarosła olszami, łozami i trzciną, stanowiła ciemną, bagnistą knieję, zamieszkałą od dzikiego zwierza i strachów; dziwne też w niektórych miejscach krążyły o niej pogłoski. Czasem pastuszek ubogi spostrzegł w gęstwinie człowieka o długiej brodzie, kręconych wąsach, plugawej sukni, z długim nożem u pasa; raz po raz złupiono jakie pustkowię; raz po raz zniknął podróżny, który śmiał sam jeden przeprować się na drugą stronę po wąskiej grobelce, czepiającej się wzgórków, wijącej się pomiędzy krzakami.

Właśnie w połowie tej grobli było ostrowie wyniosłe suche. Na niem stał młyn wodny, mocno zbudowany, warowny. Strzegły go u okien kraty, u wniosków drzwi dębowe i czujne dwa kądle. Na tyle stała szopka, koło niej pieńki pszczoł roboczych, świerki wysmukłe, kilka drzew owocowych, kilka zagonów warzywa i łączka śmiejąca się z ponurych cieniów kniei świeżą zielonością i kwieciami. Dalej krzewiła się leśzczyna między grobami. Nie raz zbierała z niej orzechy młynareczka Basia, cudnego lica, wesołego serca. Usta jej brzmiały od rana do wieczora uroczymi pieśniami, a nocą, dopiero odzywały się po swojemu słowiki, a było ich pełne ostrowie.

Ojciec i matka poszli dzisiaj na jarmark; Basia sama w domu została. Siadła do kądzieli, stukając wrzecionem, że warczało, niby cewie we młynie, a Basia дума sobie, rozmyśla. W samotności dziwne rzeczy na myśl przychodzą. Więc jej się też przypominały owe powieści pasterskie o ludziach wąsatych, z długimi brodami, z nożami.

Młynarz słynie z zamożności; u niego pieniędzy kwartami, miodu na kilka beczek, wszelkich zasobów co nie miara.

— Cóż prędzej obudzi chętkę rabusi? — pomyślała sobie Basia i poszła zawrzeć drzwi sienne na rygle, ale psów zapomniła spuścić z łańcucha.

Na dobrą milę od Karkiskiego Ostrowia ciągnął się prawym brzegiem Obry las dębowy, odwieczny, ciemny. Jedno ramie rzeki, ujawszy go w połowie bagnistym łukiem, przyciskało serdecznie do matki Obry i stanowiło wysepkę, przystępną chyba przebiegłemu zwierzowi. Gdyby się jakiś śmiały myśliwiec odważył pójść w trop za owym laskiem, który się każdej nocy skrada pomiędzy gęstwinę, ujrzałby się w najdzikszy, najskrytszy zakątek wysepki; ujrzałby przed sobą chatkę zapadłą, opodal owego liska

strzygącego uszami, chwytającego wiatr nosem, oblizującego się, jakby na zwietrzzone ścierwo. Chętka drażliwa pociąga go bliżej i bliżej, ale go razi światło błyszczące z okna chaty. Jeżeliś śmielszy myśliwce, to zbliż się; zajrzyj przez okno. Zobaczysz tam w chacie stare babsko, wyschłe, wywiedle. Z rozkoszą spogląda na sznurek czerwonych koralu, który trzyma w drżących rękach. Pewnie to będą prawe korale, bo im się napatrzyć nie może.

Przytoczyła się wreszcie bliżej do kominka, wzięła od ognia garnek wrzącej wody, wylała go na miskę i wrzuciła w nią sznurek czerwonych koralu. Zrumieniła, zaczerwieniła się woda, a sznurek koralu zbladł jak mleko, bo się z nich zmyła krew skrzepla i z owych prawych koralu zrobiły się prawe perły.

W tej chwili zawarczały dwa brytany, leżące u progu. Zakolatan do drzwi; stara je otworzyła i wszedł do izby człowiek sątnisty, okryty dziadowskimi łachmanami, a za nim innych jedenastu.

Brytany poskoczyły ku pierwszemu, wspięły się na jego piersi, polizały jego ręce i legły u drzwi, bijąc ziemię potężnymi kitami.

— Co to, chłopcy, tak prędko z jarmarku — zapytała stara.

— Będziemy mieli lepszy jarmark, matuchno — odpowiedział starszy zbójca — młynarz z Karkisza jest w mieście z babą, w domu została tylko córka; tam pieniędzy huk, na jarmarku człek zarobi mało, a ma strachu dużo.

Stara kiwała głową, odradzała jak megła, że na Karkiszu mocne drzwi i kraty, że na Karkiszu złe kądle, z którymi żartować darmo! Na drzwi wzięli rabusie pałki, a zgwiźnęli brytany, dla kądliów godne zapaśniki.

Spieszno idą pomiędzy gęstwiną, snąc, że świadomi drogi, bo chociaż noc już zapada, oni postępują pewnym krokiem, jakby po bitym gościńcu, bo chociaż bagno trzęsie się pod ich stopami i ugina na dobre pół staje w około, oni skaczą z kępy na kępę lekko i chyżo, jakby zrodzeni wśród trzęsawisk. Za godzinę usłyszą już przed sobą szum wody na Ostrowiu. Turkotu kół nie słyhać, więc młynarz jeszcze nie wrócił; powróci jednak co chwila.

— Trza się zwinąć z robotą! — zawołał najstarszy zbójca i poskoczył naprzód.

Kądle zaszczekały gwałtownie; ku nim przypadły brytany; stanęły jak wyrte, wyszczerzyły zęby, zgrzytają i warczą tylko, ale walki rozpocząć nie chcą, bo nie miały jeszcze takich przeciwników; kądle śmiały na swoich śmieciach rozpocząć jej nie mogą, bo mają na karku twarde obroże i grube łańcuchy. Więc patrzą obustronnie na siebie z najeżonym grzbietem, z wytężoną kitą. Widać ze zaiskrzonych oczu zbójcy, że się za swoje psy wstydzi; z tem większą tedy gwałtownością uderzył w dębowe drzwi pałką.

Zadrżały szyby w oknach, ale drzwi nie zdrżały. Podwojono razy, połączono siły wzajemnie, ale daremno.

— Kiedy nie drzwiami, to pode drzwiami! — zawołał rabuś i wnet zaczęto wywierać potężne kamienie i ziemię wygrzebywać z pod proga. Co chwila powiększa się otwór, a przy nim wzrasta kupa ziemi.

— Ja już się wmieszczę, koledzy — rzekł najszczuplejszy ze wszystkich; włożył głowę, wlaźł do połowy, drgnął na raz, cofnął się trochę, wierzgnął nogami, ale znowu popełznął i wlaźł szczęśliwie. Za nim drugi bez zwłoki się pakuje; temu trudniej, bo grubszy; wcisnął się jednak do połowy; drgnął na raz, wierzgnął nogami i potem wlaźł także. Za nim trzeci, czwarty, aż do ostatniego dowódcy, któremu dziwno bardzo, że się każdy w połowie na chwilę zatrzymał. Ostrożnie tedy głowę pod próg podkłada, podnosi oczy w górę, aby zajrzeć. Zajrzał i cofnął się nagle. Za późno!... Już mu strumień krwi trysnął z ponad czoła, zalewał mu oczy, ścisnął na opadłe wąsiska, na suknię plugawą. Daremnie ręką oczy przeciera; nie tak prędko zabraknie krwi w jego ciele; więc coraz hojniej płuży z szerokiej rany, wyciętej na czaszce!

Przewiązał chustą głowę, pogroził ściętą pięścią młynowi, zabelkotał słów kilka, a każde słowo, pierwej nim z ust wyszło, skapało się we krwi już skrzepłej. Bez zwłoki rzucił się potem między zarośla. Brytany poszły w trop za nim, zawyły przeraźliwie, bo poczuły krew pana swego. Chwilę jeszcze słyhać było chrzęst łamanych gałęzi, potem cicho. Noc zaszła głęboka; księżyc spokojnie, pogodnie, jak pierwszej nocy w rajskim ogrodzie poglądał z nieba na ziemię.

— Bogu dzięki, że aby noc jasna — rzekł młynarz do żony, powracając z jarmarku.

— Chciałam ci ja za dnia jeszcze wyjść z miasta, kiedy to u ciebie statku nie ma.

— Moja kobieto, bo to tam widzisz był ten i ów, a człek z biedą kogo na pustkowiu swoim obaczy! to się też raz chce i zabawić.

— Tak, tak, a Basia czeka od rana sama jedna.

— Dyć ja to, widzisz, dla Basi zostałam aż do wieczora w mieście. Był tam Stach z Łobza, a on się Baśce zaleca i chciałby ją pojąć.

— Nie dla psa kielbasa — mruknęła młynarka — mnie wrócono, że do Basi zajeżdżać będą szóstkami w złocistych karetach. Nie darmo ją też dzieckiem w mleku kąpałam, nie darmo jej zbierałam śnieg marcowy do mycia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Krysztofor.

Przed bardzo dawnym, dawnym czasem żył na świecie pewien wielkolud, nazwiskiem Oferyusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swej rękawicy wyprawił siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, Oferyusz, chcąc jej grób usypać, nabrał w but swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne, i wzniosła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, z kąd owej ziemi nabrał, powstała przepaść; a była to przepaść tyle mił głęboka w ziemi, ile mił owa góra nad ziemią sterczała. Nad przepaścią usiadł Oferyusz i płakał rzewliwie, a wszystkie lzy jego w otchłań kapąły, i zrobiło się morze. Dla tego to woda morska jest gorzka i słona. Potem wyszedł Oferyusz na wędrowkę i szukał pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy, gdyż u takiego jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nie znał wyższego od siebie, który nie znał, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferyusz, popisывał się ze swoją siłą i został mile przyjęty. Nie odstępował też odtąd na chwilę boku mocarza i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobalo się to bez wątpienia Oferyuszowi; postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden ze sług królewskich wymówił w gniewie imię diabła. Słyszając to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

— Dla czego to uczyniłeś? — zapytał Oferyusz, który jeszcze był poganinem i nie znał zwyczajów chrześcijańskich.

— Zrobiłem to dla tego, — odpowiedział król, — bo się boję diabła.

— Kiedy ty się diabła boisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatem służyć u silniejszego pana! — zawołał Oferyusz i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszcze, w której dnia pewnego napotkał rotę czarnych rycerzy z rogami na głowie, i z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy na tronie z głów trupich i kości ludzkich i wrzasnął rykliwym głosem:

— Oferyuszu! czego szukasz?

— Szukam diabła, — odpowiedział nieulekniony Oferyusz, ażeby u niego służyć.

— Ja nim jestem, — rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferyuszowi, który odtąd jego boku nigdy nie odstępował, a był mu jak prawa ręka przydatny.

Pewnego dnia wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogę krzyżowe, kędy stała Boża męka. Postrzegłszy ją dowódca, zatrąbił co tchu na powrót.

— Dla czego to zrobiłeś? — zapytał się Oferyusz.

— Dla tego, mój przyjacielu, że się boję Chrystusa! — odpowiedział djabeł

— Ty się boisz Chrystusa — pomyślał sobie Oferyusz, — więc jesteś słabszy od niego; pójdę tedy służyć jemu.

I znowu djabeł opuścił, a wędrując po puszczach, napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: — gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie! — odpowiedział pustelnik. Ale poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: — jak ja mam służyć Chrystusowi? — Pracuj! — rzekł zapytany. Poszedł tedy Oferyusz za pustelnikiem nad bystry strumień płynący z góry i dowiedział się, że każdy pielgrzym chcący się przeprawić na drugą stronę, tonie na środku.

— Tobie, — mówił pustelnik, — dał Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróźnych na swoich barkach. Uczynisz to dla Chrystusa, przyjmie cię ten za swego sługę.

— Uczynię to dla niego, — zawołał Oferyusz i przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnej sośnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnej nocy zasnął głęboko, pracę dzienną znużony; wtem słyszy głos dziecięcia, wołający go trzy razy po imieniu. Wstał więc bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wszedł we wodę, która dawniej zaledwie kolan mu sięgała. Dzisiaj gdy stanął na środku strumienia, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła, balwany były z wściekłością o brzegi, a Oferyusz zgiał się pod dziecięciem jak pałak, i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł:

— Dziecię! dziecię! dla czegoż ty takie ciężkie? Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich ramionach!

— Nie tylko świat dźwigasz na swoich ramionach, — odpowiedziało dziecię, — ale i tego, który świat stworzył. Jestem Chrystus, któremu ty służysz. Chrzcę ciebie w imię ojca, w imię moje i w imię ducha świętego. Odtąd nazywać się będziesz Kryształofor, to jest piastun Chrystusa.

Odtąd nazywał się ów wielkolud Kryształoforem i chodził wzdłuż i wszerz po świecie, służąc swemu panu wiernie aż do śmierci, którą znalazł u pogan, zostawszy ukamienowany.

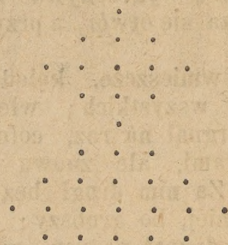
(L. Siemieński: Podania i Legendy.)



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Łamigłówka kryształowa.



- 1) spółgłoska. 2) ptak. 3) imię żeńskie.
 - 4) owad. 5) spółgłoska. 6) rzeka w Afryce.
 - 7) imię żeńskie. 8) rabuś, ciągnący za armią podczas wojny. 9) miejsce urodzenia twórcy wiary muzułmańskiej. 10) sławny poeta polski.
- Środkowe litery, czytane z góry na dół, utwórzą nazwę perły gór karpackich.

II

Szara da.

Pierwsza i trzecia — gesta oznacza,
Drugie i trzecie — człek czasem zamacza;
Wszystko — gdy się zamarynuje,
Wybornie smakuje.

III

Zaga dka.

Jedna zgłoska, dwa znaczenia;
Odwrócenie treść jej zmienia.
Choć podobne, przecież różne,
Nie raz pełne, często próżne.

Rozwiązanie łamigłówek z nr. 31.

I

Zaga dka.

Lustro.

II

Zaga dka.

Mur — rum.

